

JAN KOTT — *Bardzo młoda „Balladyna”*
BOGDAN WOJDOWSKI — *Lamus i świetlica*
JULIUSZ GORYŃSKI — *Mumifikacja czy twórczość*
EDWARD PIETRZYŃSKI — *Siedem diabłów na końcu szpilki,*
czyli raz jeszcze o recenzji filmowej w gazecie
BARBARA OLSZEWSKA — *„Przygoda na Mariensztacie”*
JULIA HARTWIG — *Plon wiejskiego konkursu*
TADEUSZ MAREK — *Nowe osiągnięcia operowe w Poznaniu,*
Gdańsku, Wrocławiu

Przegląd kulturalny

D R O G A D O W S I

Zjawisko masowego odpływu, przede wszystkim młodzieży, ze wsi do miasta zaczęło się u nas co najmniej cztery, pięć lat temu. Ciągłe rosnące zapotrzebowanie na wielkich budowach i w już zbudowanych fabrykach, otwarte drogi do szkół wszelkiego typu, system opieki państwa nad młodzieżą — internaty, domy akademickie, stypendia — wszystko to rokrocznie wyciąga ze wsi dziesiątki tysięcy młodzieży, która w ogromnej większości nie ma zamiaru kiedykolwiek do wsi powrócić. Sam fakt, że tak wezbraną falą popłynęły z przeludnionej do wczoraj wsi wielkie rezerwy, które wzmacniają klasę robotniczą i zaczynają kształtować oblicze nowej, ludowej inteligencji, sam ten fakt cieszy nas, gdyż także tym sposobem stajemy się socjalistycznym narodem, rozrywamy pierścienie gospodarczej i kulturalnej izolacji wsi, likwidujemy w znacznej mierze hańbiący spadek jej kulturalnego upośledzenia.

Ale ta wędrowka w pierwszym rzędzie najzdolniejszych, najbardziej wyrobionych ludzi odbywa się w tym samym czasie, kiedy w ich rodzinnych wsiach często już zaczyna się rewolucyjne przemiany. Bywa i tak, że właśnie ciśnienie walki ideowej — politycznej wypycha młodzież ze wsi. Znam studenta oolonistykę warszawskiej, pochodzącego ze wsi rzeszowskiej. Chłopiec ten zwierzał mi się niedawno, że nigdy już więcej nie pojedzie na święta do domu.

Jego matka jest kobietą bardzo pobożną, on sam zaś podczas studiów w Warszawie przeszedł ideowy przełom, stał się niewierującym, wstąpił do ZMP. Kiedy był w domu na Boże Narodzenie, ani razu nie poszedł do kościoła. „Nie mogłem przecież tego zrobić” — tłumaczył mi — „wszyscy starzy koledzy ze wsi patrzyli na mnie, jako na zetempowca, co ja robię”.

Matka, do której M. jest bardzo przywiązany, nie robiła mu wyrzekań, ale którejś nocy obudził go jej płacz... Odtąd co noc nad słuchał zduszonego łkania... „To trudno wytrzymać” — zwierzał mi się — „jakby kto nożem krajał; ja naprawdę matkę kocham. A w ogóle nie mogłem tam wytrzymać. Tu wśród kolegów czuję się bardziej pomijany swoimi...”

Wiele atrakcyjne, ułatwione życie w mieście pociąga młodzież wiejską. Tam przede wszystkim widzi ona też perspektywę życiową i nowe godne siebie szanse. Zjawisko to, do pewnych granic na pewno pozytywne, dziś zaczyna stawać się szkodliwie i już działa hamująco na rozwój nowych, kielukujących form socjalistycznych życia na wsi. Znam wieś na Lubelszczyźnie dosłownie ogołoconą z młodzieży, nie tylko zresztą z młodzieży, wielu dorosłych chłopów — rzutkich i zdolnych — przeniosło się stamtąd do miasta. Pamiętam przed kilku laty, kiedy w tym wiosce P. powstała spółdzielnia produkcyjna, a dookoła jeszcze i obadach dużo się mówiło, była tam bojowa, dzielna młodzież. Nocami młodzi ormowcy chodzili po wsi i śpiewali: „My z ZMP, my z ZMP — reakcji nie boimy się, a później kiedy już powstała w P. spółdzielnia produkcyjna zapal zaczął powoli stygnąć. Opiekun koła ZMP-owskiego, młody nauczyciel pełen żaru, nieustępliwy w robocie, został, mam że wcale mu się to nie uśmiechało, w drodze służbowego awansu, przeniesiony do miasta powiatowego. Młodzi jakoś stracili z oczu perspektywę i cel swojej pracy. Dotychczasowy wzór życiowy — gospodarzenie na ojcowiznie — już był nieaktualny, nowy zaś związany ze spółdzielnią produkcyjną jeszcze nie wiał wyobraźnię. Pojedynczo zaczęli się z P. wymykać w szeroki świat. Dziś nie ma tam młodzieży, a i wielu starszych wywedrowało do miast. Nie są to ludzie pokoleń z Polską Ludową ani pogniwani na socjalizm. Dla nich jednak

WITOLD ZALEWSKI

dużej mierze właśnie od ostatecznego przeciągnięcia chłopstwa na stronę socjalizmu. Dopiero wtedy kiedy zadanie to zostanie dokonane, będziemy naprawdę niewyciężeni.

Chodzi teraz, wydaje mi się, o to, żeby rysować przed ludźmi wsi, a głównie przed młodzieżą wiejską, te perspektywy socjalistyczne związane ze wsią, przede wszystkim ze wsią, żeby ukazywać bogactwo i radości socjalistycznego życia właśnie na wsi. Władza ludowa zrobiła dla wsi przez parę lat bez żadnego porównania więcej niż burżuazja w ciągu dziesięcioleci swego sprzecznego w samej istocie z interesami pracującego chłopstwa — panowania. Władza ludowa zlikwidowała na wsi: stałe bezrobocie, głód ziemi, beznadziejność gospodarczą i kulturalną zacołania. Mocne są już przychyłki socjalizmu na wsi: spółdzielnie produkcyjne, POM-y, PGR-y. A przecież wciąż jeszcze w przekonanym wielu aktywistów. linia demarkacyjna pomiędzy socjalizmem a układem kapitalistycznym przebiega przez rogatki miasta. Działacze tacy wyobrażają sobie, że socjalizm na wsi powstanie dopiero wtedy, kiedy zatarcie zostaną widzialne gołym okiem różnice pomiędzy miastem a wsią, to znaczy kiedy wsię przekształci się całkowicie, zmieniając nawet krajobraz na podobieństwo miasta. Niedocenianie rewolucyjnych możliwości chłopstwa, skłonność do komenderowania i prowadzenia chłopów za rękę przyczynia się w niewielkiej mierze do rozprzestrzeniania

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Nietrudno sobie wyobrazić, że rady czytelnictwa nie rozwinęły tam jeszcze skrzydeł, nie złączyły wszystkich luźnych ścieżek, po których słabo dociera książka do czytelnika wiejskiego — w sensowną całość. Mówiąc prościej, nie zadbały o to, by literatura fachowa i piękna znalazła się w PGR-ach, o czyście nie z historią filozofii na cele; by chudziutki biblioteczki połączyły się w solidnie zaopatrzone gromadki punkty — ogniska czytelnictwa na wsi.

Dzisiaj chłop znajduje książkę nie tylko u siebie w bibliotece. W większości GS-ów zobaczycie na półkach tomy z dziedziny wiedzy rolniczej, a obok nich dzieła Prusa, Żeromskiego, Balzaka. Rzecz jednak w tym, że — jak pisał, do nas korespondent z Pomorza, Józef Podgórczy — „książki są, lecz nikt ich nie propaguje. Nie tylko nie są one ułożone według jakichś działów, ale w ogóle nie są uporządkowane, po prostu są wysypiane na kupę jak ziemniaki z worka. Sprzedawczyń na zapytanie o książki odpowiada, że jest w sklepie sama, a ruch duży, więc nie ma czasu zajmować się książkami”.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wśród samego chłopstwa nastrojów i opinii szerzonych uparcie przez wroga: „Socjalizm to wymysł miejski. W mieście może być nawet niezły. Ale nigdy na wsi. Na wsi za socjalizmem nie ma życia”. Tymczasem to życie na wsi otwiera się pełniejsze i o ilez bogatsze niż w latach, kiedy jedyną szansą młodego człowieka było ożenić się z morganem. Otwierają się nowe zawody i specjalności rolnicze, perspektywa osiągalnego szybko dobrobytu, pole społecznie ważnej, cenionej działalności. Aktywiści, którzy hasło „miasto — wsi” rozumieją dosłownie jako ruch jednokierunkowy, zarówno towarów jak i dóbr kulturalnych, jak nakazów, instrukcji, wytycznych itd., nie dostrzegają natomiast niczego, co równoległym torem jedzie ze wsi do miasta, nie pamiętają, że tradycja sojuszu robotniczo-chłopskiego starsza jest od nich samych, choćby byli ludźmi niemłodymi, że sięga ona wspólnych walk 1905 roku, scementowana jest krwią przelaną wspólnie za wspólną sprawę obalenia burżuazji na polach Lapanowa, Kasinki, Lubartowa... Ożywiona działalność takich aktywistów w niemalym stopniu przyczynia się do tego, że młodzież wiejska opuszcza swoje strony, nie z myślą o tym, żeby zdobywszy wiedzę powrócić na wieś, lecz właśnie ze stanowczym zamiarem, żeby stać się człowiekiem na wskroś miejskim, co najwyżej raz w miesiącu odwiedzającym wieś ciężarówką z czerwonym transparentem „miasto — wsi”.

Wielce atrakcyjne, ułatwione życie w mieście pociąga młodzież wiejską. Tam przede wszystkim widzi ona też perspektywę życiową i nowe godne siebie szanse. Zjawisko to, do pewnych granic na pewno pozytywne, dziś zaczyna stawać się szkodliwie i już działa hamująco na rozwój nowych, kielukujących form socjalistycznych życia na wsi. Znam wieś na Lubelszczyźnie dosłownie ogołoconą z młodzieży, nie tylko zresztą z młodzieży, wielu dorosłych chłopów — rzutkich i zdolnych — przeniosło się stamtąd do miasta. Pamiętam przed kilku laty, kiedy w tym wiosce P. powstała spółdzielnia produkcyjna, a dookoła jeszcze i obadach dużo się mówiło, była tam bojowa, dzielna młodzież. Nocami młodzi ormowcy chodzili po wsi i śpiewali: „My z ZMP, my z ZMP — reakcji nie boimy się, a później kiedy już powstała w P. spółdzielnia produkcyjna zapal zaczął powoli stygnąć. Opiekun koła ZMP-owskiego, młody nauczyciel pełen żaru, nieustępliwy w robocie, został, mam że wcale mu się to nie uśmiechało, w drodze służbowego awansu, przeniesiony do miasta powiatowego. Młodzi jakoś stracili z oczu perspektywę i cel swojej pracy. Dotychczasowy wzór życiowy — gospodarzenie na ojcowiznie — już był nieaktualny, nowy zaś związany ze spółdzielnią produkcyjną jeszcze nie wiał wyobraźnię. Pojedynczo zaczęli się z P. wymykać w szeroki świat. Dziś nie ma tam młodzieży, a i wielu starszych wywedrowało do miast. Nie są to ludzie pokoleń z Polską Ludową ani pogniwani na socjalizm. Dla nich jednak

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

Wiedzieć, że korzysta jeden. Ale to jeszcze bardziej zagmatwa sprawę. Gdyż 55-letni czytelnik wypożyczył dotąd jedną jedyną książkę: I tom Historii Filozofii Tatarkiewicza. Oto w spółdzielczy wsi Mochle w województwie łódzkim w myśl przysłowia „każdy sobie rzepkę skrobie” założono aż trzy biblioteki: szkolną, w sąsiedniej chacie publiczny punkt biblioteczny, no i wypożyczalnię spółdzielni produkcyjnej. Wszystkie one były mizerne, smutno witały rzadkiego abonenta garstką tomów. Dla pełnej charakterystyki podam jeszcze i to, że biblioteki te nie o sobie wzajem nie wiedziały. Każda myślała, że jest we wsi jedyną.

PLON WIEJSKIEGO KONKURSU

JULIA HARTWIG

Związek Samopomocy Chłopskiej rozpisal w listopadzie ubiegłego roku ogólnopolski konkurs dla wsi pod hasłem „Dzisiaj i wczoraj wsi polskiej w samorodnej twórczości plastycznej chłopów”.

W pierwszych dniach lutego br. otwartą została wystawa prac nadesłanych na konkurs. Sąd konkursowy, w skład którego weszli przedstawiciele Min. Kultury i Sztuki, Państw. Instytutu Sztuki, Akademii Sztuk Plastycznych, Związku Plastyków, Centr. Zarządu Szkolnictwa Artyst., Muzeum Kultur Ludowych, TPRP i ZG Samopomocy Chłopskiej, przejrzał ogółem 760 prac nadesłanych przez 160 twórców.

U wejścia na salę wystawową w gmachu Związku Samopomocy Chłopskiej przy ulicy Starynkiewicza witają nas starzy znajomi: na olbrzymiej planszy widać powiększone zdjęcia Żalipianek, niższe tkaćki białostockich, na lewo Necel prezentuje okazały dzban z tradycyjnym kaszubskim motywem „długiego tulipana”.

Obok Necla jakaś nieznajoma twarz: młody chłopak z jasną czupryną trzyma w ręce małą rzeźbę wykonaną w drzewie. Najwidoczniej do wypróbowanej starej gwardii artystów ludowych przybył nowy, nie znany nam kompan. Jest to Henryk Swidrowski, najnowszą „zdobyczą” organizatorów konkursu. Swidrowski do 20 roku życia nie rzeźbił ani nie rysował, pasja do dłuta zrodziła się w nim całkiem niespodzianie. Będąc na wycieczce w Krakowie obejrzał ołtarz Wita Stwosza. To niezwykle dzieło sztuki wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że zapragnął po powrocie do domu odtworzyć postacie, które zapamiętał. W ten sposób powstał „Typ mieszczki średniowiecznej” i „Bakalarz średniowieczny”. Pasja rzeźbiarska zaczyna przybierać na sile, chłopak, z braku materiału, rzeźbi w drzewie z podkładów kolejowych. Wiadomość o konkursie urządzonym przez Samopomoc Chłopską staje się nowym bodźcem: rzeźbi teraz „Kobietę łowicką z dzbankiem”, modeluje „Głowę wiejskiego rzeźbiarza” w gipsie i prace te składa w Radzie Narodowej w Łowiczu. Tam leżą one kilka tygodni w jakiejś szafie, po czym po różnych tarapatach dostają się na miejsce przeznaczenia. Wiele trzeba jeszcze telefonów, listów i interwencji osobistych — Zarząd Szkolnictwa Wzrósłego nie ma funduszy na stypendium w środku roku szkolnego, brak miejsca w bursie, to znów inne „nieformalności”, które niestety towarzyszą każdemu niezaplannowemu odkryciu talentu — by Henryk Swidrowski wyładował w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie. Stypendium dla niego ufundowała Samopomoc Chłopska, znalazło się miejsce w Dziekanacie, profesor Wnuk przyjął młodego rzeźbiarza do swojej pracowni.

Tutaj Samopomocy Chłopskiej należy się jakieś ciepłe słowo: gdyby nie upór ludzi, czy może nawet jednego człowieka, który zajmował się w jej imieniu wystawą i gorąco zaopiekował się Swidrowskim, sprawa jego być może wcale by nie powstała, a gdyby nawet sam Swidrowski starał się ją popychać, gdzieś to daleka, ze swojej wsi, wlokłaby się co najmniej do następnego roku.

Jaki jest stosunek tej historii do zagadnienia samej wystawy, poświęconej samorodnej twórczości plastycznej chłopów?

W regulaminie rozpisanego konkursu czytamy pod punktem drugim: celem konkursu jest „popieranie samorodnej twórczości artystycznej na wsi w dziedzinie plastyki oraz pomoc w wybitnie uzdolnionym, przez skierowanie ich do odpowiednich szkół plastycznych”.

Obok Swidrowskiego „wyłowionym” został jeszcze szesnastoletni Mikołaj Popławski ze wsi Kojły, powiat Bielski Podlaski. Od niego przyszedł do Samopomocy pierwszy list ze zgłoszeniem udziału w konkursie. Chłopak przysłał swoje akwarele i prosił o pomoc w prowadzeniu dalszych studiów. Tu poszło widać trudniej, a przy tym mniej naglił wiek petenta, o cztery lata młodszego od Swidrowskiego, bo Popławskiemu zapewniono miejsce w liceum Technik Plastycznych

w Nałęczowie dopiero od początku następnego roku szkolnego.

Oto pierwsza doraźna korzyść z konkursu urządnego przez Samopomoc Chłopską: umożliwienie studiów dwu młodym zdolnym amatorom.

Natrafiono również na inne talenty. Do takich zaliczyć można Tymofieja Tychomiuka, pochodzącego, jak i mały Popławski, ze wsi Kojły, z dalekiej wschodniej Polski. Tychomiuk to już człowiek nie-młody, 47-letni, z wielką ochotą do rysowania i ze sporym chyba, lecz zaprzeczonym talentem. Nadesłał on kilkanaście rysunków wykonanych kolorowymi kredkami. Prace te cechuje odwaga w podejmowaniu najtrudniejszych tematów, jaką mają tylko dzieci i genialni artyści. Albo samorodni twórcy, tacy właśnie jak Tychomiuk. Te staranne, czyściutko wykonane rysunki kredką nie mają w sobie nic z milej dla oka naiwności. Krępe postaci o brzydkich twarzach uwijają się tam przy żniwach, przysadkowaci partyzanci żołnierze na tle nieba z księżycem grają na białające i grzeją się przy ognisku. A obok dziesiątki innych rysunkowych notat: we wsi Rajsk hitlerowcy rozstrzelują 139 mieszkańców; bitwa okopowa z olbrzymimi cieniami samolotów; Niemcy uciekają na motocyklach z rodzinnej wsi Tychomiuka, zostawiając za sobą nagi kontur ruin, zakreślony czarną kredką.

Tymofiej Tychomiuk napisał już po przesłaniu swoich prac kilka listów do Samopomocy Chłopskiej. Sam określa się w nich jako „talent zmarnowany za czasów sanacyjnych”. Pełno w tych listach zapiekłego żalu za utratą życiowej szansy. Przykład losu, jaki czeka chłopca z jego wsi, Popławskiego, tego właśnie, który w przyszłym roku pojedzie do Nałęczowa, przysparza mu co najmniej tyle samo refleksji przykrych na temat własnej przeszłości, co pogodnych — w stosunku do przyszłości syna sąsiada.

Taki konkurs, jak konkurs Samopomocy Chłopskiej, daje mu przecież jakiś rodzaj rekompensaty. Doczekał się jednak Tychomiuk takiej chwili, której pewno już się nie spodziewał, że prace jego poszły na wystawę do Warszawy, że uzyskały tam jedną z nagród (ufundowaną przez TPRP).

Obrazki Tychomiuka w całej ich różnorodności stanowią rodzaj kroniki mieszkańca małej bielsko-podlaskiej wioski, otoczonej równiną linia pól, ze starą kopulastą cerkwią i ciemną linią lasów, przechodzących w Białowieską puszcę. Wieś ta przeszła przez najstraszniejsze katusze w czasach hitlerowskich, dziś przejechał po jej polach traktor błyszczący w pogodny dzień jak słońce. Wszystko to zanotowała pamięć i wyobraźnia wiejskiego malarza.

Regulamin konkursu Samopomocy głosi w punkcie trzecim, że jednym z jego celów jest „uzyskanie materiału dokumentalnego i artystycznego, przedstawiającego wieś przedwojenną w czasie wojny i po wyzwoleniu”.

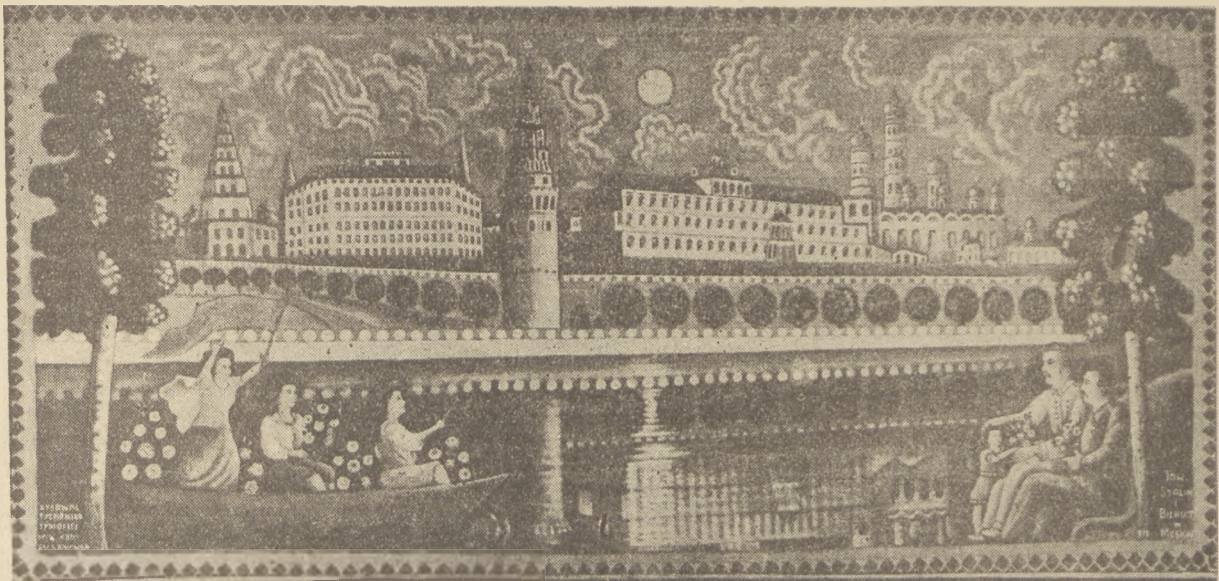
Taki właśnie sens kroniki i dokumentu miały prace Tychomiuka i kilku innych amatorów - chłopów, takich choćby jak Konstanty Lenkiewicz ze wsi Długi Kąt, powiat Ostrołęka. Jego rysunki, wykonane również kredką, „Walka partyzanów” i „Wesele kurpiowskie”, mają wdzięk niezdarne, ale pełnego dowcipu prymitywu. Na tle poustawianych równo chat, jak ocieżała, ale bohaterkie kukielki, idzie do ataku kurpiowska wieś, odziana w odświeżone stroje; strojna kurpianka nadziewa na bagnet jak na widły hitlerowca podobnego do stogu siana, i nawet przelewająca się krew w tym trochę groteskowym światku z olówka i kredki nie budzi odrazy w widzu, jak to się zdarza przy innych, bardziej naturalistycznych ujęciach tego tematu, spotykanych na wystawie. „Wesele kurpiowskie” przejeżdżające przez wieś, przed ok-

nami chałup, z których wydają dziesiątki ciekawych głów, tworzy w tym nadesłanym dyptyku pogodną przeciwwagę tematyczną, jest zarazem symbolem wyzwolenia, radości i świątecznego dnia na dzisiejszej wsi. Obie prace Lenkiewicza zostały zakupione przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

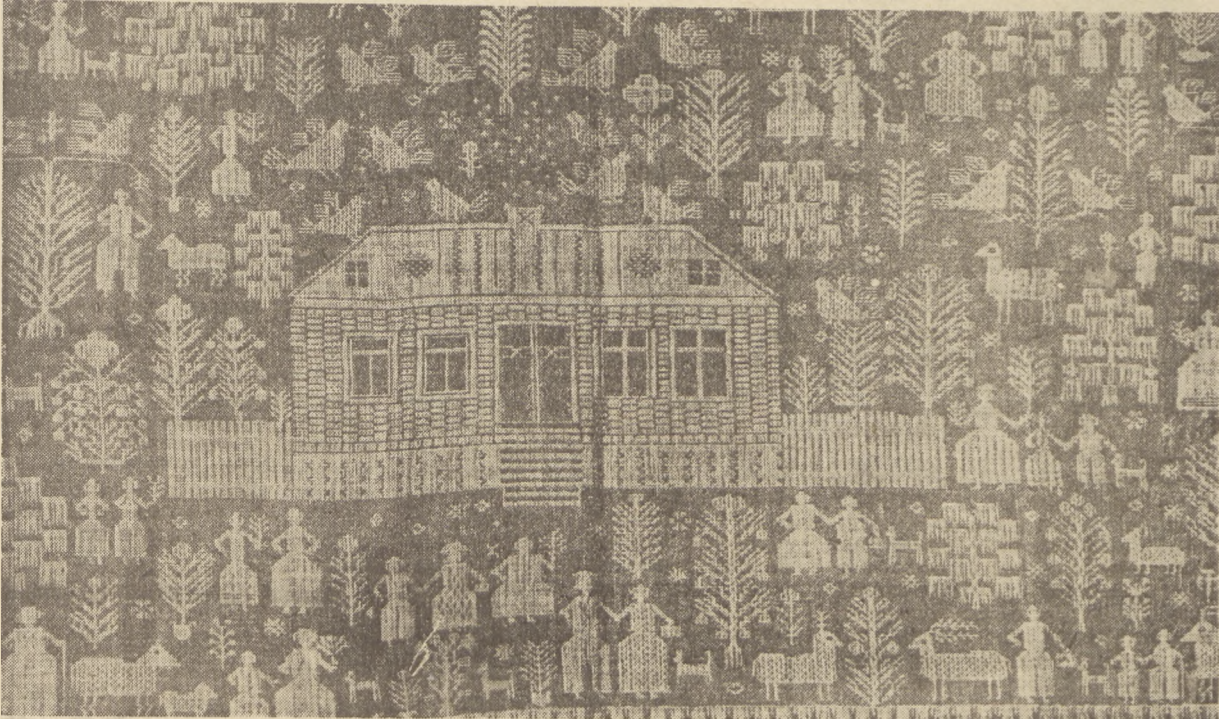
Oczywiście, znalazło się na tej wystawie trochę prac, które z punktu widzenia plastycznego nie powinny się były znaleźć na żadnym pokazie. Tyle w nich złego gustu, wpływu oleodruków, taniej frazeologii i braku skromności w potraktowaniu tematu. Można przypuszczać, że w sądzie konkursowym toczyły się między plastykami zawodowymi i tzw. czynnikami społecznymi walne boje o to, czy należy przwać czy też odrzucić ten typ prac. Za ich przyjęciem przemawiała zawsze tematyka, przeciwnie — strona plastyczna.

Ale trzeba przyznać tym razem, że tu owo przypuszczalne starcie dwu poglądów, fachowca i praktyka społecznego, stworzyło jakąś „pośrodkowość”, związaną z celami konkursu. Konkurs ten urządziła przecież Samopomoc Chłopska, i to nie tylko w celu wyciągnięcia ciekawych talentów. Dziesiątki autorów, którzy wzięli udział w konkursie, nie przejdą już zapewne żadnego przeszkolenia plastycznego. Ot, malować będą od zachęcenia do zachęcenia czy też od wystawy do wystawy. Przeważnie są to już ludzie dorośli albo nawet starzy (rozpiętość wieku uczestników konkursu była olbrzymia: najmłodszy, Eugeniusz Parciak, liczy sobie lat 10, najstarsza, Maria Konopka, lat 75). Organizatorzy, jak głosi dalej warunki konkursu, pragnęli „skierować zainteresowania artystyczne wiejskich amatorów plastyków na tematykę odzwierciedlającą przemiany społeczne, gospodarcze i kulturalne wsi oraz związane z twórczością z zadaniami przebudowy wsi”. Krótko mówiąc: uwspółcześnienie tematyki i zdobycie nowych aktywistów oddanych sprawie postępu wsi. Czy konkurs spełnił pod tym względem swoje zadanie? Niełatwo jest je spełnić, choć szkoda, że w tak niedużej skali. Samopomoc Chłopskiej nie udało się zorganizować konkursu z dostatecznie szerokim rozmachem, tak, że niektóre regiony Polski w ogóle nie wzięły w nim udziału. Błąd leżał chyba w tym, że Samopomocy brak wyrobionych działaczy kulturalnych na niższych szczeblach, gromadzących czy gminnych, to jest tam właśnie, gdzie działalność wotodźkich czy powiatowych rad narodowych i ich referatów kulturalno - oświatowych słabiej dociera. W zorganizowaniu konkursu wiele dopomogło Ministerstwo Kultury i Sztuki, ale i ono już dziś, po okresie pionierskich poszukiwań w tym zakresie, chodzą na ogół utartymi ścieżkami. Z takich prawdopodobnie powodów organizacja konkursu ze strony Samopomocy zawiodła. Ale nawet w tych wymiarach Samopomoc podjęła dobrą i pożyteczną robotę. Ludzie, którzy nadesłali swoje prace na konkurs, dołączali do nich często listy z przyczynkami do życiorysu i do dziś są z centralą Samopomocy w kontakcie. Ludzie ci zaproszeni zostali przez Samopomoc do Warszawy, którą wielu z nich widziało po raz pierwszy. Obejrzel tu Muzeum Narodowe i Wystawę Odrodzenia, poszli razem do teatru. Wyróżnienie, jakie ich spotkało, i poczucie, że ich drobne, czy też poważniejsze zamiłowania artystyczne są przedmiotem opieki ze strony jeszcze jednej instytucji społecznej — to dobra pożywką dla stworzenia zdrowej w tej dziedzinie atmosfery.

Czy taki niewielki konkurs może wpłynąć na wyrobienie społeczne wsi? Trudno rzucić zdania ogólne. Tychomiuk opowiadał w Warszawie, że kiedy przygotowywał prace na konkurs, sąsiedzi przychodzili pytać, czy nie trzeba mu pomóc w pracy gospodarskiej, żeby miał więcej czasu na rysowanie. Chcieli mu obrobić jego działkę przyzagródową, bo Tychomiuk jest członkiem spółdzielni produkcyjnej. O-



Tymofiej Tychomiuk (wieś Kojły, pow. Bielski Podlaski) — Tow. Stalin i Bierut przyjmują delegację kobiet i dzieci na Kremlu (olej)



Felicja Jaroszewicz (Janów, pow. Sokółka) — Szkoła (dywan podwójny)



Helena Roj-Kozłowska (Zakopane) — Wesele jadzie (malowidło na szkle).

sobny rozdział w życiu spółdzielni we wsi Kojły stanowiły wspólne omawianie jego prac i porównywanie rysunków z prawdą historyczną: takie gromadzkie jury miejscowe.

Tak się złożyło, że wszystkie uwagi na temat wystawy „Wczoraj i dzisiaj...” dotyczą tylko jednego jej działu, obrazków i rzeźby. A przecież znalazł się tam również bogato reprezentowany dział tzw. sztuki ludowej, stanowiący piękne ramy całej wystawy. Znalazły się tam malowanki z Żalipia, wycinanki sannickie, wycinanki i nakle-

janki kurpiowskie, wspaniałe tkaniny sołolskie, koronki śląskie i hafty kaszubskie. Podobnie jak malowidła na szkle znanej artystki. Heleny Roj - Kozłowskiej, i nowego talentu (tylko czy w dobrym kierunku prowadzonego), jakim jest Józef Hulka z powiatu Żywiec. Wdzieliśmy również na wystawie ciekawe wyklejanki na temat nowej wsi, wykonane przez gospodynię z Łowickiego, Marię Kołaczynską, i wycinanki Czesławy Konopkówny ze wsi Tatary, zręcznie wykorzystującej tradycyjną technikę do tworzenia współczesnych motywów.

(Jej „Pałac Kultury i Nauki” z symetrycznie rozmieszczonymi gołębiami, na wszystkich kondygnacjach jest małym dziełem sztuki).

Dlaczego w artykule tym nie zajęło więcej miejsca omówienie eksponatów sztuki ludowej? Po prostu dlatego, że to, co zostało u nas uznane za sztukę ludową, doczekało się już niedawnej publikacji i omówienia. Za sprawą samorodnej amatorskiej twórczości plastycznej czeka jeszcze wciąż na omówienie, i to szersze, i bardziej kompetentne, niż autor potrafił to zrobić w ramach tych skromnych uwag.

CEPELIOWSKIE NIEPOROZUMIENIA

Zacznijmy od małej zagadki. Na wystawie leżą: kupon samodzielnego, franka, kilka par drogich butów, srebrna puderniczka, zabawki, kaszeta z napisem „Pamięć z Karkonoszy”, ubranko dziecięce, bransoletka, wazon z ceramiką i skórzana torebka.

Jaki to sklep? Komis? A właśnie nie zgadliście. Postaramy się więc wam pomóc.

Jest przy ulicy Ozimskiej w Opolu ładny sklep, w którym za te same co w innych towary pobiera się znacznie wyższe ceny. Teraz już wiecie. Tak, to jest sklep Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

I tu zaczyna się pierwsze nieporozumienie. Sklepy CPLiA zostały utworzone po to, aby dostarczały odbiorcom przedmiotów o pewnych wartościach artystycznych. Tymczasem w opolskim sklepie CPLiA z przedmiotów, które tłumaczą w jakim stopniu nazwę centrali można nabyć jedynie wyroby ceramiczne i galanterię z metaloplastyki. Re-

sztą powinna znaleźć się na półkach sklepów tekstylnych, galanteryjnych i skórzanych. Kierownictwo opolskiego sklepu CPLiA twierdzi, że wyroby artystyczne nie znajdują nabywców. Takie tłumaczenie jest co najmniej niewinne. Przecież w innych miastach, jak na przykład we Wrocławiu czy w Gliwicach, znajduje się sporo amatorów tych wyrobów. Ale tam pracownicy sklepu podchodzą z sercem i co najważniejsze, ze znajomością rzeczy do tych spraw. Tam pracownicy sklepów CPLiA uważają — i słusznie — że ich zadaniem jest kształcenie poczucia piękna w klientach. Uważają się w pewnej mierze za działaczy kulturalnych, a nie pracowników — dajmy na to — sklepu komisowego, którym zależy jedynie na ilościowym wykonaniu planu obrotów.

A teraz drugie nieporozumienie. W Opolu istnieje Rejonowa Spółdzielnia Wytwórcza Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego. Zrzesza ona kilkudziesięciu chałupników, przeważnie koronkarzy,

i posiada kilka punktów pracy. I tak przy ulicy Gostawickiej w Opolu mieści się pracownia strojów ludowych. Tam również znajduje się pomieszczenie punkt usług propagandy masowej. Trzeba przyznać, że oba te punkty spełniają dobrze swoje zadania. Stroje ludowe opracowywane są niezwykle starannie, a plastycy, Władysław Początek i Stanisław Bober, wykonujący dekoracje dla świetlic, domów kultury i zakładów przemysłowych pracują doskonale. Ich prace stoją na dobrym poziomie. CPLiA powinna jednak skupiać utalentowanych artystów-amatorów. Mamy tu oczywiście na myśli ludowych rzeźbiarzy, malarzy, ceramików. I tacy są na Opolszczyźnie. We wsi Rogów w powiecie opolskim mieszka uzdolniony rzeźbiarz. Ponieważ nie potrafił sam sprzedawać swoich prac, zarabia na utrzymywanie robiąc listwy do okien, ramy inspektowe, drzwi. W Raciborzu dwie starszuszki, zamieszkałe przy ul. Opolekiej 89, robią przepiękne koronkowe serwetki i ślicznie wyszywane obru-

sy, za które otrzymują od prywatnych nabywców nędzne grosze. W Chmielowicach, w powiecie opolskim, kobiety szyją naprawdę ładne stroje śląskie, odznaczające się niezwykle bogactwem ozdób. Zresztą takich przykładowo moglibyśmy dać mnóstwo. W każdym powiecie Opolszczyzny słynące z tradycji pięknego rękodziela żyją utalentowani wiejscy artyści. Niestety, CPLiA nie dotarła jeszcze do nich, nie stworzyła im warunków pracy. Opolska Rejonowa Spółdzielnia Wytwórcza nie uczyniła tego dotychczas dlatego, że nie ma odpowiednich ludzi. Na kilka osób personelu tylko dwie posiadają odpowiednie kwalifikacje, a i one zajęte są do tego stopnia sprawami papierkowymi, biurowymi, że nie mają czasu na penetrację terenu. Łatwiej im więc nawiązać kontakt z zawodowcami.

Zresztą tymi sprawami powinna zajmować się delegatura CPLiA. Jednak z Wrocławia, w którym mieści się delegatura, do Opola jest trochę za daleko, dojazdy pocia-

giem męczące, więc nikt Opolszczyzny nie odwiedza, a jeżeli już przyjedzie, to tylko do Opola. Istniała co prawda swego czasu ekspozytura w Opolu, ale to było bardzo dawno, bo w roku 1951. I kto, kto chciał porobić na Opolu ileś pojęte „oszczędności”, kazał ją zlikwidować. Skutki tego widzimy. W opolskim sklepie CPLiA można nabyć wszystko oprócz wyrobów opolskich, a ludowi artyści sprzedają na odpustach tandetne, sztampowane figurki.

Trzecim wreszcie nieporozumieniem jest całkowity brak zainteresowania pracą CPLiA ze strony opolskich czynników kulturalnych. Uważają one tę instytucję za coś na kształt komisju lub zwykłej spółdzielni rzemieślniczej. Nikt, dosłownie nikt, nie interesuje się polityką kulturalną CPLiA, nie pomaga w ustaleniu planów pracy. Mało tego — utrudnia ją. Weźmy taki przykład. Rejonowe Biuro Handlowe w Opolu starało się o przydział pomieszczenia na reprezentacyjny

sklep w jednej z 9 nowo odbudowanych kamieniczek opolskiego Rynku. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej odmówiło. I jesteśmy przekonani, że pomieszczenie dostanie tam sklep branzowy, która jest najmniej predysponowana do zajmowania lokalu w zabytkowej kamieniczce.

Podsumujmy. Przekształcenie reprezentacyjnego sklepu wyrobów ludowych i artystycznych w sklep komisowy, stały kontakt z artystami ludowymi spowodowany brakiem ekspozytury w Opolu, brak zainteresowania czynników kulturalnych działalnością CPLiA — oto trzy nieporozumienia, o to trzy przyczyny, dla których opolska CPLiA nie jest jeszcze Centralą Przemysłu Ludowego i Artystycznego. Te nieporozumienia trzeba wyjaśnić. Bo opolanie nie chcą kupować w swoim mieście pamiątek z Karkonoszy, lecz piękne ludowe — artystyczne wyroby zdobne w opolskie wzory.

ANDRZEJ SOROCZYŃSKI



„Młoda Gwardia” — Juliusza Mejtusa. Akt II, scena 2.



„Jenufa” — Leona Janaczka, akt III.

Ubiegle tygodnie zaznaczyły się w naszym życiu operowym znacznym ożywieniem. Szereg premier, interesujących repertuarowo, przygotowanych dobrze

zwłaszcza pod względem muzycznym, to wydarzenia, którym warto poświęcić nieco uwagi. Przedstawienia, o których będzie mowa, oglądałem nie w premierowym blasku, lecz w tak zwany powszedni dzień operowy. Trzeba bowiem było wyczekać moment, gdy daty poszczególnych przedstawień ułożą się w niedalekich odstępach, umożliwiając odbycie jednym rzutem „wielkiej podróży operowej” Poznań — Wrocław — Gdańsk.

„KSIĄŻE IGOR” Borodina

„Księcia Igora” Borodina zaliczyć może Opera Poznańska do złotej serii swych wielkich sukcesów. Przedstawienie to przygotowane i dyrygowane przez Waleriana Bierdiajewa jest pod względem muzycznym wzorowe.

Borodin umarł nagle (r. 1887) nie dokonawszy „Księcia Igora”, nad którym pracował przez wiele lat, niemal na marginesie swych rozlicznych zajęć. Bowiem kompozytor był, jak wiadomo, wybitnym chemikiem, profesorem Akademii Chirurgicznej, kierownikiem założonych przez siebie kursów medycznych dla kobiet, prezesem, skarbnikiem lub co najmniej członkiem wielu stowarzyszeń itd. Jego gościnny dom był zawsze otwarty dla wszystkich szukających rady, opieki i pomocy.

Na zlecenie bardzo bogatego mecenasa i miłośnika muzyki, byłego kupca drzewnego, Bielajewa — Rimszkiego Korsakow zajął się uporządkowaniem i przygotowaniem do druku rękopisów muzycznych zmarłego przyjaciela. W trakcie tych prac „Książę Igor” otrzymał ostateczną redakcję, dotyczącą nie tylko instrumentacji całości ale też przynoszącą rekonstrukcję poszczególnych scen, nawet obrazów. Porywającą uwerturę odzwierciedlał w pamięci Aleksander Glazunow, po kilkakrotnym jej usłyszeniu, graną na fortepianie przez kompozytora. Libretto oparte na słynnym eposie ludowym z XII w. „Słowie o puku Igora” opracował Borodin, zachęcony do tej pracy przez Szosowa. Jest rzeczą charakterystyczną, że kompozytorzy „Potężnej Gromadki” nieraz sami opracowywali libretta swych oper, które, zgodnie z ich narodowym programem, oparte były na tematach zaczerpniętych z historii Rosji lub starych legend ludowych.

Przedstawienie poznańskie, podobnie jak inscenizacje radzieckie, opuszcza akt opracowany przez Glazunowa, istotny wprawdzie jeśli idzie o rozwój akcji, nie przedstawiający jednak pod względem muzycznym równej innym aktom wartości. Siedem obrazów ukazuje barwny świat starego eposu, przemawiając do słuchacza góracą i pełną blasku muzyką.

Borodin scharakteryzował z wyjątkową trafnością oba występujące w operze środowiska: rosyjskie i połowieckie. Bez uciekania się do cytatów potrafił stworzyć wyrazistą syntezę muzyki bliskiego wschodu i — operując egzotycznymi barwami, malował nimi pełne charakteru i życia postacie. Sławna scena tańców i pieśni połowieckich, w której słusznie można się dopatrzyć jakby załazką nowoczesnego, symfonicznie potraktowanego baletu, zdumiewa przepychem barw orkiestry, śmiałością pomysłów harmonicznych i niezwykłą inwencją rytmiczną. Jaskrawości scen orientalnych przeciwstawia się powaga wielkich scen chóralskich, których muzyka zabarwiona intonacjami ludowymi wyraża bohaterską postawę ludu Rusi i jego wolę zwycięstwa. Obok tych scen pełnych szlachetnego patosu kompozytor wplotił epizody, a nawet całe sceny odznaczające się żywym, soczystym humorem.

Orkiestra Opery Poznańskiej, bezprzecznie najlepsza nasza orkiestra operowa, miała swój wielki dzień. Sugestywnie współdziałała w tworzeniu dramatycznego wyrazu poszczególnych scen przez aktywne, precyzyjnie wydobyte przez znakomitego dyrygenta stosunek do narażających konfliktów i kulminacji.

Główni wykonawcy: Włodzisław

(Książę Igor), Kawecka (Jarosława), Kossowski (Książę halicki) dali pokaz wysokiego kunsztu wokalnego stwarzając zarazem przekonujące i przemysłane pod względem aktorskim postacie. Klonowski w roli młodego księcia Włodzimierza miał prawie wszystkie zalety i niektóre wady pierwszego tenora. Należy podkreślić, że wymienieni śpiewacy, należący do czołówki naszych wokalistów, wykazują na przestrzeni ostatnio wykonywanych ról stały rozwój, co dobrze świadczy o metodach pracy w Operze Poznańskiej. Role Skuli (Szplingier) i Jeroszki (Katin) ujęte były zgodnie z intencjami kompozytora. Jednak Katin niepotrzebnie powtarzał (dosłownie) swoje zabawne gierki z „Borysa Godunowa”.

Reżyseria Adolfa Popławskiego była raczej czynnikiem porządkującym niż tworzącym organizującym. „Książę Igor” wymaga nie tylko wielkiej sceny ale i wielkich tłumów w scenach zbiorowych. To, czym dysponował Popławski, pozwalało z trudem na zapełnienie i tak dość przez Jarockiego zabudowanej sceny. Daleki jestem od złośliwości, ale mam wrażenie, że w zakończeniu pierwszej odsłony wojowie wyruszający przeciwko Polowcom co najmniej dwukrotnie defilowali przed błogosławiącym ich patriarchą. Przypuszczam, że reżyser chciał w ten sposób podkreślić nie pobożność rycerzy, lecz niedostateczną ilość przyznanych Operze „masowych” etatów.

Dekoracje Władysława Jarockiego, poza mało oryginalną odsłoną szóstą (Tańce), ciekawe: barozej niż zazwyczaj powściągliwe w kolorze. Kostiumy przeważnie bardzo udane. Słynna scena „Tańców Połowieckich” skomponowana z dużą pomysłowością przez Miszczyka w barwny obraz baletowy — dała pole do popisu czołowym solistom baletu Opery Poznańskiej i naprawdę dobremu, pod względem technicznym wyrównanemu, corps de ballet. W czasie omawianego przedstawienia szczególnie wyróżnili się w Tańcach Teresa Kujawa i Ryszard Radek.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza „sto lat” rozbzmiewające w finale budziło najnieprzyjemniejsze w tej scenie. imieninowe skojarzenia.

Przebieg libretta budzi dość zastrzeżenia. Jest często nieporadny, pełen przedziwnych anachronizmów. Zwłaszcza

czątek inwestycyjny wielkich założeń gospodarczych. Skończyło się na pałacu, jak to bardzo często miało miejsce w ówczesnych poczynaniach magnatów. Niemniej pałac stanowi ważną pozycję w historii architektury polskiej i dokument rozwoju postępowej myśli polskiego oświecenia. Z. BOBROWSKI

Książka prof. Krzyżanowskiego jest wstąpiła przed r. 1939, sam autor zdaje sobie sprawę, że jej założenia filozoficzne nie są z gruntu idealistyczne, wymogi etyki i polityki nie w pełni poprawne. Nie tylko nie posiadał podstawowych ocen, ale i rozumienie prawdy, wartości literackich odbiega tu od wymagań naukowych, i od nowszych wyników kultury. Wówczas zapłacił, po co w r. 1939 organizowano konferencję naukową poświęconą Oświeceniu polskemu i niedoświadczony w październiku 1953 wielkie zadanie, odczucia, moźnoście i żmudnie przegrywany przez cały sztab uczonych — udziałem i prof. Krzyżanowskiego — „W grudniu tegoż roku państwo wydawało się upowszechniać u tych epok, od wyznaczenia tych zjawisk, zów bardzo a wybornie, oglądając, jest nie w porządku? Czy to niedopuszczalna dwutorowość polityki kulturalnej oświatowej, czy chaos pojęć, zatracenie możliwości perspektyw rozwoju nauk, czy brak zadań dla „kultury”? — Trzeba było sprawnie i jasno krytykę naukową, partijną, cka i partyjną. Trzeba wyjaśnić, co niejasne, usunąć pyłakim. Trzeba przede wszystkim zbuzdzić krytycyzm uczniów, nauczycieli, którzy po fatalnie prowadzonej dyskusji „podreknikowski” stałowie stracił ścisłość. Zgoda.

F. S. Dopisuję w korektce: przeczytałem właśnie w styczniowym n-ku *Niewidch* artykuł Romana Werlca, który mi zwraca uwagę na powyższy błąd jakiegoś masowego wydanie omawianych książek!